

## II

STUDIA SEMIOTYCZNE, t. XXVIII-XXIX (2015)

ISSN 0137-6608

DOI: 10.26833/sts.xxviii.09

JERZY PELC

### DWA POJĘCIA KOMUNIKACJI

*Marianowi Przełęckiemu na Jego dziewięćdziesięciolecie.  
J. (osiemdziesiąt lat od naszego pierwszego spotkania  
w Piwnicznej na Majerzu).*

Warszawa, 17 maja 2013

#### 1. KOGNITYWISTYKA A SEMIOTYKA TEORETYCZNA, CZYLI NAUKI O POZNANIU I KOMUNIKACJI

W tytule tego rozdziału sąsiadują „kognitywistyka” i „semiotyka teoretyczna”. Nie przeciwstawiam ich sobie, co powinno być jasne dla każdego, kto dostrzeże, iż semiotykę teoretyczną traktuję jako nauki o poznaniu i komunikacji. Kognitywistyka jest dzisiaj modna. Nad Wisłą moda na kognitywistykę osiągnęła szczyt – jak zwykle – z opóźnieniem w stosunku do Zachodu. Tam już dawno temu *cognitive science*, nauka o poznaniu, została w popularnych ujęciach okrzyczana jako wynalazek z pięćdziesiątych lat XX stulecia, odkrycie, które ludzkość zawdzięcza w wielkiej mierze cybernetyce, sztucznej inteligencji oraz informatyce. A przecież to żyzne pole zostało obsiane już w starożytności i od tego czasu uprawiają je filozofowie, zwłaszcza specjaliści w zakresie teorii poznania, ogólnej metodologii nauk i filozofii języka, semiotycy teoretyczni, czyli adepci nauk o poznaniu i komunikacji, lingwiści, antropologowie, kulturoznawcy, socjologowie, prakseologowie, politologowie, badacze literatury oraz sztuk itd., a także badacze organizmów żywych, w szczególności fizjologowie, neurofizjologowie, neurologowie, psychiatrzy i psychologowie. Ów wspólny wysiłek wielu pokoleń, od starożytności po dzień dzisiejszy, przez cały czas rodzi obfite plony.

Kognitywistyki uczyłem się jeszcze w latach studenckich 1942–1945. Wtedy nie wiedziałem, że uczyć się właśnie kognitywistyki, a nie poszczególnych

działów filozofii, jak teoria poznania, semantyka w szerokim sensie, będąca częścią logiki ogólnej, metodologia nauk i psychologia, która wraz z poprzednio wymienionymi należała wówczas do uniwersyteckich studiów filozofii. Oprócz tego podczas mych równoległych studiów, filologicznych, na niektórych zajęciach z poetyki, stylistyki, historii literatury i jej socjologii oraz z językoznawstwa stykałem się z zagadnieniami kognitywnymi, również nie znając wówczas tej ich nazwy. Na filozofii uczyłem się m.in. kognitywistyki od moich nauczycieli: Marii Ossowskiej (wykłady dla I roku), Tadeusza Kotarbińskiego (wykłady i seminaria w ciągu całych studiów oraz – przez całe życie – znakomite *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* (Lwów 1929, Ossolineum), a także *Traktat o dobrej robocie*, in statu nascendi tego dzieła, czytanego nam wówczas i komentowanego przez autora z kartek rosnącego z dnia na dzień rękopisu, a następnie wspólnie dyskutowanego przez Profesora i zebranych oraz Władysława Tatarkiewicza (wykład *Psychologia uczuć*, wykłady z historii filozofii i z estetyki, a także dzieło *Historia filozofii* (Lwów 1931, Ossolineum)). Dużą porcję wiedzy z zakresu kognitywistyki przynosiły także, co zrozumiałe, zajęcia z psychologii i podręcznik Władysława Witwickiego *Psychologia dla użytku słuchaczy wyższych zakładów naukowych* (Lwów 1925, Ossolineum), świadectwo wielości i różnorodności talentów autora; egzamin z psychologii był wówczas – jednym z trzech głównych egzaminów na filozofii. „Wywierzyskiem”, z którego tryskał potok kognitywistyki, były też książki Romana Ingardena, ucznia Husserla i Twardowskiego, *Das literarische Kunstwerk. Eine Untersuchung aus den Grenzgebiet der Ontologie, Logik und Literaturwissenschaft* (Halle 1931, Niemeyer) i *O poznawaniu dzieła literackiego* (Lwów 1931, Ossolineum), obfitujące w celne i głębokie rozważania psychologiczne – wbrew odżegnywaniu się fenomenologów od psychologizmu, a zgodnie i zapewne pod wpływem Kazimierza Twardowskiego, założyciela pierwszego w Polsce laboratorium psychologicznego. Po magisterium i po doktoracie znalazłem się wśród świadków powstawania odkrywczych, krytycznych i niezmiernie wnikliwych idei kognitywistycznych Kazimierza Ajdukiewicza na jego seminariach, wykładach oraz organizowanych przezeń ogólnopolskich konferencjach logicznych; swoje pomysły, powstające wtedy i wcześniej, zapisał następnie w publikacjach, zwłaszcza w książkach *Język i poznanie* (Warszawa 1960–1965, PWN) oraz *Logika pragmatyczna* (Warszawa 1965, PWN), zawierających kontynuację, rozszerzenie i pogłębienie myśli zawartych w przeszłości we *Wstępie do Głównych kierunków filozofii w wyjątkach z dzieł ich klasycznych przedstawicieli. Teoria poznania, logika, metafizyka*, w *Głównych zasadach metodologii nauk i logiki* (1928), w *Logicznych podstawach nauczania* (1934) w *Propedeutyce filozofii dla liceów ogólnokształcących* (1938) oraz w *Zagadnieniach i kierunkach filozofii – teoria poznania, metafizyka* (1949). Oryginalność i subtelność analiz – nie tylko kognitywnych – Romana Ingardena dawała o sobie znać, gdy uczestniczyłem w latach sześćdziesiątych

w jego konwersatoriach i seminariach, przyciągających do Krakowa zarówno członków społeczności uniwersyteckiej różnych kierunków, jak artystów.

Poczytuję sobie za przywilej, wyróżnienie i dar losu, że było mi dane należeć do pokolenia, które miało takich nauczycieli i wychowawców. Z zalem patrzę na tych młodych kolegów, którzy choć z łatwością mogliby korzystać z cennego dorobku tamtych mistrzów, często nawet nie wiedzą o jego istnieniu, bo nie zniżają się do czytania „staroci” – a za takie uważają publikacje sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat – zwłaszcza te, wstyd powiedzieć, napisane nie po angielsku, więc z tych dwóch powodów pozbawione „*impact factor*”, który się uwzględnia w punktacji przy tzw. „rankingu” periodyków, awansowaniu pracowników i rozdziale „grantów”.

Migawkowe spojrzenie na to, co opracowania encyklopedyczne podają jako aktualne kierunki badań w kognitywistyce, upewnia, iż ta – z nauk starych jak świat, pośród nich z filozofii, logiki czy lingwistyki, wybiera pewne ich obszary, np. pojęcia, zagadnienia i rozwiązania z zakresu teorii poznania oraz filozofii umysłu, a zatem i z psychologii oraz jej podstaw lub aspektów neurofizjologicznych. Wcześniej podobnie czyniła tak i nadal czyni semiotyka, między innymi w obrębie pragmatyki, jednego z trzech działów semiotyki teoretycznej, czyli – powtarzam – nauk o poznaniu i komunikacji. W pragmatyce często się znajdowały i nadal znajdują zagadnienia zwane dziś kognitywnymi lub kognitywistycznymi, które przez całe wieki nosiły swe tradycyjne nazwy, jak teoria poznania czy znacznie później, jedna z jej spadkobierczyń, psychologia poznawcza. I nic dziwnego: problematyka dzisiejszej kognitywistyki, wyjąwszy te wyjaśnienia i zastosowania, które stały się możliwe dopiero dzięki postępowi technologii elektronicznej, jest i była obecna zarówno w semiotyce, jak w niejednej z jej antycznych poprzedniczek, np. w retoryce, erystyce, poetyce oraz w symptomatologii i diagnostyce lekarskiej. Wszędzie tam można było spotkać przodków kognitywistyki, tyle że poszczególne jej elementy występowały incognito, a nie pod swymi obecnymi nazwami. Także uczeni, których spotykałem na światowych kongresach i sympozjach semiotycznych, jak na przykład John Searle czy Charles Fillmore, nie zmieniwszy swego profilu naukowego – pierwszy w dziedzinie filozofii języka i umysłu, drugi w zakresie semantyki – obecnie są przez kognitywistów wymieniani jako wybitni kognitywiści. Filozof Gilbert Ryle (1900–1976), autor dzieła *The Concept of Mind* (Londyn 1949), zapewne dowiedziałby się dzisiaj, że jest kognitywistą, a jego książka należy do dzieł kognitywistycznych. Byłaby to po części prawda: sporo miejsca poświęcił rozważaniom, które obecnie występują pod szyldem obecnie kognitywistyki. Zarazem jednak tytuły rozdziałów (w przekładzie Witolda Marciszewskiego *Czym jest umysł?* (Warszawa 1970, PWN) – *Wiedzieć jak i wiedzieć że, Wola, Uczucie, Dyspozycje i stany aktualne, Samoświadomość, Doznawanie i obserwowanie, Wyobraźnia, Intelpekt, Psychologia* – mogłyby wystąpić w każdym ów-

czesnym podręczniku psychologii, i to ogólnej, niekoniecznie poznawczej. Nazwa tego wynalazku, „kognitywistyka”, podobnie jak jej angielski wzór „*cognitive science*”, pochodzą z tego samego źródła, z łaciny: „*co-gnosco, co-gnoscere, cognitum*” znaczy «pozna(wa)ć, dowiedzieć się», a z kolei ten łaciński czasownik ma rodowód grecki: „*gnosis*” «poznanie», stąd angielski termin „*gnosiology*” oznaczający teorię poznania oraz „*epistemology*”, z greki „*epistheme*” «wiedza (naukowa)» – teorię wiedzy lub w niektórych językach teorię poznania. I tak, jak pragmatyka, której część stanowi problematyka kognitywistyczna, nie jest odkryciem czy wynalazkiem Morrisa, Carnapa, Wittgensteina jako autora *Philosophische Bemerkungen*, Austina, Grice’a, Bar Hillela, Kaplana, Scotta ani Montague’a, ojcem zaś semiotyki, której działem jest pragmatyka, nie był Peirce, również kognitywistyka nie powstała wyłącznie dzięki pomysłom i pracom zespołu złożonego z Chomsky’ego, Millera, Minsky’ego, McCarthy’ego, Newella i Simona. Im zawdzięcza tylko pewne swe stadium w określonym przedziale czasu.

Wydaje się, że obecna sytuacja kognitywistyki przypomina rozwój semiotyk stosowanych z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Kolejna faza każdej dyscypliny, subdyscypliny, jak również pola multidyscyplinarnego czy interdyscyplinarnego, jest „przyjęciem składkowym”, na które każde z gości, a zarazem współgospodarzy takiego spotkania przynosi jakiś produkt lub w dodatku przepis kulinarny poznany od rodziców, dziadków czy przyjaciół. Przy tym w nauce, tak jak w handlu, niemałą rolę odgrywa reklama, a dla reklamy istotne znaczenie ma nazwa. Bez nowej lub odświeżonej nazwy nowy pomysł, choćby najdonioślejszy, może pozostać niezauważony. Nazwa jest magnesem przyciągającym uwagę, iskrą wywołującą wybuch mody. Wydaje mi się, że tak było z modą na semiotykę, a także iż do rozplenienia się i rozrostu semiotyk stosowanych przyczyniły się ich nowe nazwy. Już dawno zauważył to Władysław Tatarkiewicz i na wzór „brzytwy Ockhama” ukuł ostrzeżenie „*Nomina non sunt multiplicanda praeter necessitatem*”, nazw nie należy mnożyć bez potrzeby, a raczej nie należy ich mnożyć, gdy jedyną potrzebą i celem jest, aby służyły *ad vanam captandam gloriam* oraz *sordidi lucri causa*, do zdobywania chwały zaspokajającej próżność oraz zysku, za którym ugania się chciwość.

Czy takie zadanie magnesu i reklamy spełnił termin „semiotyka”, przypomniany w połowie XX wieku, a nieco później termin „kognitywistyka”? Nie twierdę, że to, do czego się każdy z nich odnosi, ma małą wartość albo zawiera jedynie nikłą domieszkę nowości, lecz tylko staram się uwydatnić, jak bardzo nazwy „semiotyka” i „kognitywistyka” oraz im pokrewne zaważyły na dostrzeżeniu i docenieniu tych wartości oraz nowości. Dziś – obok poważnych badaczy – kognitywistyka przyciąga tych samych poszukiwaczy modnych, w ich mniemaniu „nowości”, którzy wczoraj oblegali kongresy i sympozja semiotyczne. „Kobiety i dzieci bawi każda nowość” (może udało mi się

wiernie zacytować słowa przewielebnego poety, którego cenię i lubię m.in. za jego wezwanie do śmiania się z głupich. Przytoczona jego opinia o kobietach i dzieciach nie jest prawdziwa, a w każdym razie to nie „święta prawda” ani cała prawda, ale sam doszedł do tego wniosku i napisał, zgodnie z innym swym spostrzeżeniem: „wszystko to jest zmienne: serce mężczyzn, gust kobiet, pogody jesienne”; nie wszystkie kobiety gonią za nowością i nie tylko kobiety oraz dzieci; również niektórzy mężczyźni). Trzeba pamiętać obie przytoczone opinie i to, że nazwy się osłuchują, więc i mody lansowane za pomocą tych nazw – przemijają.

## 2. DOMINACJA SEMIOTYK STOSOWANYCH NAD SEMIOTYKĄ TEORETYCZNĄ

Przyglądałem się przed laty wieloznaczności wyrazu „semiotyka”. Ileż różnych rzeczy ludzie mają na myśli, gdy wypowiadają to słowo. Daleko mu do osiągnięcia wyrażności sensu i ostrości zakresu wymaganych od precyzyjnego terminu naukowego. Usiłowałem kiedyś z tej mnogości wybrać kilka podstawowych członów. Doprowadziło to wtedy do wyodrębnienia m.in. (a) semiotyki teoretycznej, (b) semiotyki jako zbioru metod semiotycznych lub semiotyki jako jakiejś jednej metody semiotycznej, np. metody interpretowania znaków, oraz (c) wielu rozmaitych semiotyk stosowanych, czyli zastosowań semiotyki, a w szczególności zastosowań metod semiotycznych, do badań w obrębie tej czy innej dyscypliny szczegółowej. Dziś, gdy napotykam zwroty: „antropologia kognitywna”, „archeologia kognitywna”, „architektura kognitywna”, „ergonomia kognitywna”, „etologia kognitywna”, „lingwistyka kognitywna”, „mapy kognitywne”, „modelowanie kognitywne” itd., przypominam sobie, że z czymś podobnym mieliśmy do czynienia w semiotyce, zwłaszcza w okresie szczytowej na nią mody. Rozmnożyły się wówczas dziesiątki semiotyk stosowanych: semiotyka cyrku, semiotyka tańca, baletu, semiotyka radia, telewizji, semiotyka roślin, semiotyka architektury, urbanistyki, semiotyka ciała, którą usłużni żurnaliści i specjaliści w zakresie stosowanej psychologii społecznej przerobili na „język ciała” lub „mowę ciała”, i poczęli doradzać „celebrytom”, jak ciałem głównie, niekoniecznie zaś umysłem, zjednywać sobie „fanów”, kibiców, klientów.

Bynajmniej nie zamierzam deprecjonować dyscyplin, których aspektów znakowych dotyczą poszczególne rodzaje semiotyki stosowanej, takie jak semiotyka mediów, semiotyka filmu, semiotyka teatru. Są one działami – odpowiednio – medioznawstwa, filmoznawstwa, teatrologii. Należy jednak pamiętać, że semiotyka każdego rodzaju wiedzy jest tylko jego częścią, która w obrębie całej dyscypliny stanowi jedynie subdyscyplinę stosowaną. Niechaj wyjaśni to zestawienie botaniki z semiotyką roślin. Ta pierwsza zajmuje się

ogółem ich własności oraz zdarzeń, procesów i zjawisk, w których występują rośliny, podczas gdy semiotyka roślin ogranicza swoje zainteresowania do jednej tylko strony owych przedmiotów, zdarzeń, procesów i zjawisk, mianowicie do ich charakteru znakowego.

Wraz z rozwojem semiotyk stosowanych nastąpił przerost zastosowań semiotyki w porównaniu z jej teorią stanowiącą fundamenty całej budowli. W żadnej zaś dyscyplinie zastosowania nie powinny zdobywać przewagi nad teorią. Być może ci, którzy mienią się „kognitywistami”, powinni sobie zadać pytanie, czy także i na ich terenie daje się zauważyć podobne zjawisko. Wskazywałaby na to wspomniana mnogość określeń, w których figuruje przydawka „kognitywny”.

Co w semiotyce było, i zwykle w naukach bywa, przyczyną tego rozwoju zastosowań i następnie ich przewagi nad podstawami teoretycznymi? Wydaje się, że do różnych rodzajów semiotyki stosowanej przyciągało niektórych adeptów to, iż pod nową nazwą mogli uprawiać swoją dotychczasową działalność, zarazem zaś bez dodatkowego wysiłku na uczenie się nowych rzeczy stwarzać pozory wielostronności swych badań, pomnażania, rozszerzania i podwyższania swych kwalifikacji naukowych, a nawet nowatorstwa. Tego rodzaju nowatorstwo tym bardziej imponowało im samym oraz tym, którzy mieli ich podziwiać, że wkraczało pod sztandarem interdyscyplinarności, ta zaś uwalniała niejednego z dzierzących ów sztandar od żmudnego uczenia się i nauczania tego, czego zwykle wymagamy od dobrego specjalisty w tej czy owej tradycyjnej dyscyplinie. Czy podobnie się dzieje w kognitywistyce, w szczególności w dzisiejszej kognitywistyce w Polsce?

Jeśli mi wolno polegać na własnych spostrzeżeniach, to ujmę je jako wrażenie, iż większa niż w Polsce dominacja zastosowań semiotyki nad jej teorią dawała się zauważyć zagranicą, zwłaszcza w tych ośrodkach, w których fundamenty semiotyki teoretycznej były wątle. Budowla wznoszona w ten sposób groziła zawaleniem. W Polsce, dzięki rozwojowi logiki, teorii poznania i filozofii języka, ogółem więc dzięki promieniowaniu myśli Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, ożywiającej nie tylko filozofię, ale i inne dyscypliny, oraz dzięki ideom rodzimej fenomenologii, która czerpała zarówno z Husserla, jak i z Twardowskiego, udało się uniknąć rażących dysproporcji między fundamentami teoretycznymi a semiotyką stosowaną. Ale i u nas zainteresowanie zastosowaniami semiotyki, między innymi zaś atrakcyjność ich nowych nazw, miały niekiedy niepożądane następstwa.

Oto przykład: z początkiem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Centralna Komisja do Spraw Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych przyjęła z inicjatywy swego ówczesnego przewodniczącego przedmiot „nauki o poznaniu i komunikacji” jako dyscyplinę, a właściwie całość złożoną z wielu dyscyplin, stanowiącą zakres jednego z naukowych stopni doktora i doktora habilitowanego. Projektując, a następnie proponując do zaakceptowania

przez CK przedmiot „nauki o poznaniu i komunikacji” pod tą właśnie nazwą, zamierzałem utworzyć drogę i zapewnić warunki dalszego rozwoju instytucjonalnego semiotyce teoretycznej jako wszechstronnym badaniom nad wszelkimi znakami, zwłaszcza zaś nad językiem, poznaniem i komunikacją, badaniom prowadzonym ze stanowiska wielu różnych nauk szczegółowych, a zatem nad tym, co było obszarem prac koryfeusza Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, w której współdziałali logicy, filozofowie, psychologowie, językoznawcy oraz adepci wielu innych dyscyplin humanistycznych i społecznych, wspomagani przez przyrodznawców zainteresowanych tą problematyką. Słowo „poznanie” w powyższej nazwie stopni naukowych zostało użyte pod wpływem tradycji, na wzór terminu „teoria poznania”. W istocie odnosi się on zarówno do teorii czynności lub procesu poznawania, jak i do rozważań na temat ich wytworu, którym jest poznanie. Również wyraz „komunikacja” oznacza: w jednych wypadkach porozumiewanie się, a więc czynność lub proces, w innych zaś porozumienie, a więc wytwór tej czynności czy procesu.

Po kilku latach obowiązywania zmieniono w Centralnej Komisji tę nazwę, a więc i to, co owa nazwa oznacza. Mianowicie zmieniono w niej liczbę mnogą „nauki” na pojedynczą „nauka” oraz dodano przydawkę „społecznej”. W rezultacie na miejscu wyrażenia „nauki o poznaniu i komunikacji” pojawiło się wyrażenie „nauka o poznaniu i komunikacji społecznej”. Zmieniono w ten sposób istotę całej sprawy. Zmiana ta była – moim zdaniem – niefortunna. Być może, jej projektodawcy nie wzięli pod uwagę, że zastępując liczbę mnogą „nauki” liczbą pojedynczą „nauka”, jeśli nie przekreślają, to przynajmniej osłabiają sugestię interdyscyplinarności lub multidyscyplinarności zawartą w pierwotnym sformułowaniu. Z kolei dodając przydawkę „społeczna” do rzeczownika „komunikacja”, nie pamiętali, że taki dodatek do danego terminu na ogół pociąga za sobą zwężenie zakresu owego terminu, to jest zmianę zakresu na podrzędny w stosunku do pierwotnego. Dzieje się tak z wyjątkiem wypadków, w których dodajemy w przydawce własność każdego z elementów zbioru stanowiącego zakres pierwotnej nazwy, tj. nazwy bez przydawki. Natomiast w rozpatrywanym wypadku nowelizacja zubożyła – jak myślę – przedmiot, który pierwotna nazwa oznacza. Jeśli się bowiem zgodzimy, że nazwy „społeczny” oraz „indywidualny” są antonimiczne, i że „społeczny” znaczy «dotyczący społeczeństwa lub społeczności, a więc zbioru jednostek», „indywidualny” zaś – «dotyczący poszczególnej jednostki», to wraz z dodaniem wyrazu „społecznej” usunięto z pola rozważań sprawy komunikacji indywidualnej, jednopodmiotowej, a zarazem wewnątrzosobniczej.

Miano „komunikacja jednopodmiotowa” narażone jest na zarzut, że obarcza je tzw. *contradictio in adiecto*, czyli sprzeczność między rzeczownikiem a przymiotnikiem. Wymaga więc komentarza.

W tym momencie przystępuję do rozważań, które semiotyka zalicza do semiotycznych, a kognitywistyka uznalaby zapewne za kognitywne.

### 3. JEDNOPODMIOTOWE CZYNNOŚCI I PROCESY WEWNĄTRZOSOBNICZE

Termin „komunikacja jednopodmiotowa” (KJ) stosuję do czterech kategorii wypadków.

KJ1. Do pierwszej kategorii zaliczam proces rozumowania polegający na tym, że podmiot sam sobie w myślach – a mniej wprawny półgłosem lub głośno – zadaje pytanie, by następnie sobie samemu na nie odpowiedzieć, i z kolei tę odpowiedź poddaje krytyce, koryguje, zastępuje inną hipotezą itd. Powstała całość jest monologiem, ponieważ składa się ze zwartej serii wypowiedzi jednej osoby. Zarazem jednak faktycznie jest dialogiem złożonym z owych monologów, ponieważ ów jedyny sprawca zrazu jest nadawcą wypowiedzi, a następnie jej odbiorcą, który z kolei staje się nadawcą itd.

KJ2. Do drugiej kategorii należą wypadki, w których ktoś zapisuje sobie coś dla pamięci, z tym zamiarem, że tylko jemu, autorowi tej notatki, będzie służyła i że kiedyś on sam, jej adresat i odbiorca, sięgnie po nią w celu przypomnienia sobie, co owa notatka zawiera. Dodając słowo „społeczna” do rzeczownika „komunikacja” eliminuje się także wypadki tej kategorii.

KJ3. Na skutek dodania przymiotnika „społecznej” wycięta też została trzecia kategoria wypadków: osobnik, najczęściej o słabej indywidualności psychicznej, występuje kolejno w roli suflera i – w jednej osobie – aktora, któremu ów sufler podrzuca kwestię przewidzianą w scenariuszu, czyli zamierzonym planie działania, jeszcze nie całkiem skryształizowanym, aktor zaś następnie podpowiedzianą kwestię wygłasza, a więc wykonuje zadanie, które sufler, czyli w tym wypadku on sam sobie, podyktował półgłosem albo nawet głośno; wywiera to na świadkach takie wrażenie, jakby jednocześnie wydawał samemu sobie polecenie, co w danym momencie ma uczynić, i czynił to właśnie, występując zatem jako inicjator i sprawca, a zarazem sprawozdawca swych czynności; bez takiej podpowiedzi trudniej by mu było zdobyć się na działanie.

KJ4. Kolejny typ zdarzeń wysiedlonych poza obszar komunikowania się społecznego stanowi czwarta kategoria wypadków, tzw. solilokwium starców. Terminu „solilokwium” używam tu w znaczeniu, które odbiega od występującego w teorii literatury i językoznawstwie. Aby uwydatnić semiotyczne – a właściwie semiozyczne – między innymi więc komunikacyjne aspekty tego pojęcia, jako gatunkową własność solilokwium obrałem to, że jedynym adresatem i odbiorcą komunikatu jest jego autor-nadawca, podobnie jak we wszystkich pozostałych trzech wypadkach, które – wraz z czwartym, obec-



nym – określiłem jako odmiany komunikacji jednopodmiotowej, czyli wewnątrzsobniczej. W solilokwium wypowiedź ma funkcję autoterapeutyczną i uspołeczniającą: człowiek w podeszłym wieku, często na skutek osłabienia słuchu, wzroku lub sprawności ruchów pozbawiony możliwości komunikowania się z otoczeniem, które w dodatku nieraz nie zwraca na niego uwagi, usiłuje zwalczyć swą samotność oraz odizolowanie i rozmawiając z samym sobą rekompensuje sobie tą namiastką brak lub niedostatek zwykłego komunikowania się z innymi. Solilokwium odróżniam od monologu wewnętrznego, takiego jak Hamletowskie „*to be, or not to be*”. Oto adresatem i odbiorcą monologu, m.in. monologu wewnętrznego, który spotykamy w tekstach sztuki literackiej, jest osoba inna niż mówiący – mianowicie słuchacz, widz lub czytelnik. Tymczasem we wszystkich czterech odmianach komunikacji jednopodmiotowej, czyli wewnątrzsobniczej – indywidualnym rozumowaniu, zapisywaniu sobie czegoś *pro memoria*, dyktowaniu sobie samemu zadań do wykonania oraz w solilokwium – nadawca i odbiorca wypowiedzi faktycznie są tą samą jednostką, wypowiedź zaś nie ma innego adresata ani odbiorcy.

(W nawiasach odnotowuję uwagę dotyczącą „*to be or not to be*”: ku memu zdziwieniu tłumacze – nawet tak dobrzy jak Maciej Słomczyński – oddają ten zwrot słowami „być ALBO nie być”; w moich uszach brzmią one sztucznie, niby przykład dysjunkcji w logice, podczas gdy w mowie bardziej naturalne wydawałoby się „czy (też)” zamiast „albo”. Ale sprawa owego „albo” znika z pola widzenia, gdy zestawiamy ją z inwencją innego „TRANSLATORA” – tak się teraz elegancko mówi, a przecież „zasługujemy na odrobinę luksusu” – przejawioną w przekładzie zdania z *Makbeta*: „ten się odgraża, a on jeszcze żyje; Gorąco czynów ziębia słów jałowe CHRYSJE”). Wracam do przerwanego wątku.

W stosunku do każdego z czterech wymienionych tu wypadków KJ, jednopodmiotowych czynności lub procesów wewnątrzsobniczych, można zadać dwa pytania: czy dochodzi w nich do komunikowania czegoś komuś, a zatem: czy są odmianami komunikacji, oraz czy mamy w nich do czynienia z monologiem, czy też z dialogiem, tj. wymianą monologowych replik między jego uczestnikami.

Rozstrzygnięcie zależeć tu będzie od tego, w jakim znaczeniu użyjemy słów „komunikacja”, „monolog” i „dialog”. Na pytania te można udzielić dwójakiej odpowiedzi.

A) Jeżeli warunkiem komunikacji, przekazywania lub odbierania komunikatu, uczynimy udział co najmniej dwóch podmiotów, partnerów tej czynności, każdy z nich jednostkowy bądź grupowy, to w żadnym z ostatnio rozważanych czterech wypadków nie powstała komunikacja, ponieważ za każdym razem występowała w nich jedna osoba. Z kolei jeśli jako wyróżnik monologu przyjmujemy to, że ma on jednego nadawcę lub – jak chór w tragedii greckiej, wprawdzie więcej niż jednego, ale z wyjątkiem *turbato-*

*ra chori* mówiących unisono to samo – to wówczas w czterech poprzednio wyliczonych wypadkach mamy do czynienia z monologami, nie zaś z dialogiem. W tej odpowiedzi występuje obiegowe, tradycyjne pojęcie komunikacji międzyosobniczej i obiegowe, tradycyjne pojęcia monologu oraz dialogu.

B) Możliwe jednak jest inne stanowisko, moim zdaniem słuszne: aby powstał wytwór zwany komunikatem, aby powstała czynność komunikowania czegoś komuś, aby wystąpiło zdarzenie zwane „komunikacją” w rozpatrywanym tu sensie, a nie np. w takim znaczeniu jak w zwrocie „komunikacja autobusowa”, nie jest niezbędny udział co najmniej dwóch osób. Zamiast tego wystarczy jedna osoba, ale kolejno w dwóch rolach: nadawcy przekazu, a następnie odbiorcy tegoż przekazu. Gdy więc np. sobie coś zapisuję dla pamięci, czynię to jako nadawca notatki, którą wysyłam do samego siebie; gdy otrzymany komunikat odczytuję i zachowuję, z nadawcy tego komunikatu staję się jego odbiorcą; gdy po pewnym czasie sięgam po tę notatkę, ponownie staję się jej odbiorcą, a gdy na jej podstawie odczytawszy, co zawiera, uprztamnam sobie jej treść, czynię to jako nadawca komunikatu, który przekazuje go sobie jako odbiorcy.

Możliwe staję się także rozróżnienie dwóch odmian monologu. W tradycyjnym ujęciu monolog był przeciwstawiany dialogowi i definiowany ze względu na osobę swego nadawcy, mianowicie jako wypowiedź jednej osoby, zwykle dłuższa, jednolita pod względem formalnym i spójna pod względem treści (cokolwiek by tu miano na myśli). Tymczasem z semiotycznego punktu widzenia, zwłaszcza gdy jako szczególnie istotne wysuwają się na czoło funkcje poznawcze – tak ważne dla kognitywisty – i funkcje komunikacyjne znaku, wówczas przede wszystkim rola odbiorcy znaku wymaga uwzględnienia. Nie każdy znak ma nadawcę, natomiast aby coś stało się znakiem, musi zostać w tej roli zinterpretowane. Zadanie to należy do odbiorcy znaku. Również nadawca czegoś, aby mógł owo coś potraktować jako znak, który ma właśnie nadać, musi uprzednio przez moment wystąpić w roli interpretatora, by dowolną – mówiąc najogólniej – rzecz „przerobić” na znak, czyli coś znaczącego, wyposażonego w interpretację. Udział interpretatora znaku jest w procesie semiozy niezbędny.

Jak wspomniałem poprzednio, interpretator znaku nie musi być inną osobą niż nadawca tego znaku. Otwiera się więc możliwość odróżnienia:

(M1) monologów, których adresatem i odbiorcą jest tylko ich nadawca, od

(M2) tych, które zostały przeznaczone dla indywidualnego lub zbiorowego odbiorcy, różnego od nadawcy.

Jedne i drugie monologi można w tej koncepcji traktować jako człony dialogu (D).

Również więc wśród dialogów spotykamy dwa rodzaje.

(D1) dialogi mające na zewnątrz formę monologu, jednakże złożonego z prostszych członów monologowych. A więc choć z wyglądu monolog, jest to w istocie – dialog, ale jednopodmiotowy, czyli prowadzony między podmiotem jako nadawcą a nim samym jako odbiorcą komunikatu.

Ale oprócz takich dialogów, które polegają na wewnętrznej wymianie monologowych wypowiedzi nadawanych i odbieranych przez ten sam podmiot, a więc na komunikacji jednopodmiotowej, czyli wewnątrzsobniczej, spotykamy

(D2) zwykle dialogi, w których jawnie następują na przemian monologi rozmówców zwane replikami. Między stronami odbywa się wówczas komunikacja międzysobnicza (KM).

Czy dialog jest formą katecorematyczną, monolog zaś synkatecorematyczną – w zmodyfikowanym sensie obu tych przymiotników? Jak wiadomo, w logice tradycyjnej zarówno terminem „katecorematyczny”, jak i terminem „synkatecorematyczny” oznaczano wyrazy i wyrażenia imienne, czyli mające znaczenie rzeczownikowe lub przymiotnikowe. Za katecorematyczne uważano te spośród nich, które mogą być samodzielnymi podmiotami bądź orzecznikami w zdaniu, np. „drzewo”, „czerwony”, natomiast za synkatecorematyczne – te, które aby nadawać się do roli orzecznika w zdaniu, wymagają uzupełnienia innym wyrazem lub wyrazami, np. „skłonny”. Okazuje się jednak, że na własność samodzielności elementu językowego można patrzeć na różne sposoby, zależnie od aktualnego zadania badawczego. I tak: na jednym biegunie własność ta zostanie przyznana morfemowi, a na drugim dopiero tekst zostanie uznany za samodzielny, poszczególne zaś zdania, a tym bardziej wyrazy i zwroty, okażą się synkatecorematyczne. Myślę, że podobnie rzecz się ma z monologiem oraz dialogiem. Z jednej strony, gdy dialog uznamy za całość katecorematyczną, wówczas poszczególne monologi jako jej składniki wydawałyby się synkatecorematyczne. Z drugiej strony, skoro w wewnętrznej strukturze monologu można dostrzec następstwo replik właściwe dialogowi, to monolog awansuje do statusu całości katecorematycznej, każdy zaś z jego dialogów-składników staje się synkatecorematyczny. W tej sytuacji rozsądne byłoby rozwiązanie „polubowne”: katecorematyczność i synkatecorematyczność są tu cechami względnymi. Natomiast niewątpliwy jest związek i wzajemna zależność obu pojęć, więź monologu z dialogiem. Rozwiązanie to mieści się w ramach wyżej wymienionego stanowiska (B).

Wybieram je, bo ma – jak sądzę – następujące zalety:

- pozwala w zakresie pojęcia komunikacji umieścić nie tylko jej odmianę międzysobniczą, lecz również semiotyczne czynności i procesy jednopodmiotowe, czyli wewnątrzsobnicze, szczególnie interesujące dla teorii poznania, psychologii i kognitywistyki;
- pozwala wnikać w wewnętrzną budowę zarówno monologu, jak i dialogu i w pierwszym z nich dostrzec elementy dialogowe, w drugim zaś

następstwo składników monologowych, a zatem uwydatnić związek i wzajemną zależność obu pojęć.

#### 4. KOMUNIKACJA MIĘDZYOSOBNICZA

Cztery wymienione wypadki (KJ) „komunikacji jednopodmiotowej”, czyli „komunikacji wewnątrzsobniczej”, różnią się od tego, co przywykliśmy uważać za zwykłe porozumiewanie się, a więc od (KM) „komunikacji międzysobniczej”, która zachodzi:

(KM1) między różnymi jednostkami, np. w rozmowie dwóch lub większej liczby osób,

(KM2) między dwiema grupami lub większą liczbą grup, np. między dwiema lub trzema partiami politycznymi,

(KM3) między grupą a jednostką, np. gdy rodzice obiecują coś dziecku albo gdy manifestujący tłum wzywa polityka do rezygnacji z urzędu,

(KM4) między jednostką a grupą, czego przykładami są: wykład, kazanie albo taka dyskusja przy okrągłym stole, czyli panelowa, która – jak często bywa – zamienia się w serię wystąpień nie związanych ze sobą i pozbawionych replik, dialogowych elementów autentycznej wymiany: pytań, odpowiedzi, krytycznych opinii itd.

Spśród wyliczonych odmian (KM), komunikacji międzysobniczej, niektóre mają charakter komunikacji publicznej lub społecznej. Typowymi przykładami komunikacji społecznej są wypadki porozumiewania się dwóch lub większej liczby społeczeństw, nie tylko ludzkich, bądź społeczności, jak również wzajemne relacje między mediami a grupami społecznymi. Komunikacją społeczną interesują się, co zrozumiałe, nauki społeczne, jak socjologia, psychologia społeczna, ekonomia i politologia.

Zastosowania praktyczne wiedzy o komunikacji międzysobniczej, jak zresztą zastosowania każdej gałęzi wiedzy, są oczywiście ważne, jeśli tylko służą godziwym celom i jeśli są skuteczne. Tego drugiego warunku na ogół – jak się zdaje – nie spełniają, albo spełniają w niedostatecznym stopniu, te zastosowania, które rozrosły się nadmiernie w stosunku do teorii stanowiącej ich podstawę.

Przypuszczam, że to właśnie specjaliści od takich praktycznych zastosowań komunikacyjnej części tej problematyki nauk społecznych, m.in. ci i owi ludzie mediów – dziennikarze, radiowcy, filmowcy, specje od telewizji i reklamy, lobbyści doradzający politykom, jak i który profil pokazywać kamerze oraz jakimi minami i gestami zjednywać sobie widza – wpływając na opinię publiczną, m.in. na opinię naukowców, dokładali starań, aby pierwotną nazwę zakresu doktoratów, habilitacji i tytułu profesorskiego, mianowicie nazwę w mianowniku liczby mnogiej „nauki o poznaniu i komunikacji”,

zastąpić nazwą w mianowniku liczby pojedynczej „nauka o komunikacji społecznej”, a więc opatrzoną dodatkiem przymiotnika „społecznej”, zwięźającego zakres pierwotnej deskrypcji. Nie wiem, czy zdawali sobie sprawę, jakie skutki pociągnie za sobą ta zmiana. W jej następstwie punkt ciężkości został przesunięty z poważnej nauki, łączącej trzon filozofii z istotnymi obszarami językoznawstwa, psychologii i socjologii, na domenę zawodowych zainteresowań i działalności zarobkowej praktyków, co zapewniło im awans prestiżowy i rynkowy w postaci stopni i tytułów naukowych, nadawanych za jej uprawianie. Ten stan rzeczy trwa nadal, jak na urągowisko.

Na zakończenie żartem dodam, że w tak rozwlekłe wywody na temat kognitywistyki i jej stosunku do semiotyki wdałem się z powodów osobistych. Oto przez kilkadziesiąt lat w różnych formularzach i sprawozdaniach podawałem, że zajmuję się semiotyką, czyli naukami o poznaniu i komunikacji. Zeznanie to składałem w dokumentach urzędowych według swej najlepszej wiedzy i woli oraz potwierdzałem własnoręcznym podpisem. I co teraz będzie, jeśli się okaże, iż to nieprawda, gdyż przez cały czas owym moim poletkiem była kognitywistyka? Nie jestem jedynym człowiekiem w tej „NIEKOMFORTOWEJ” sytuacji (tak należy dziś mówić, dawniej się tak mówiło głównie o mieszkaniach). Taki Jerzy Konorski (1903–1973), uczeń Pawłowa, autor dzieła *Integracyjna działalność mózgu* (Warszawa 1969, PWN), zapewne przez całe swe dojrzałe życie był przekonany, że jest neurofizjologiem, a dziś chyba by sprostowano to jego błędne mniemanie o sobie, wskazując, iż faktycznie uprawiał kognitywistykę.

#### Post scriptum

*17 maja 2013 r. zatelefonowałem do Mariana, by – jak co roku – złożyć Mu życzenia. Wiedziałem, że ma tremę przed urodzinami, które miano uroczystie obchodzić w domu Sióstr Obliczanek w Otwocku, gdzie mieszkał. Powiedziałem więc: „Mam do Ciebie prośbę: opowiedz mi, jak to jest, kiedy człowiek robi się tak strasznie stary, dziewiciędziesiąt lat! Chciałbym się przygotować, choć mam jeszcze dużo czasu: rok i cztery miesiące...”*

*Jerzy Pelc*